XXIII. Kraków, 15 lipca 1920 r. Nr. 14



„BOCIAN"

Wychodzi 1-go i 15-go każdego miesiąca.

Kwartalnie: z przes. poczt. 28 M. 50 f. Do Ameryki rocznie 6 dolarów.

ADRES REDAKCYI I ADMINISTRACYI:
KRAKÓW XV., ul. [illegible] Telefon Nr. [illegible]

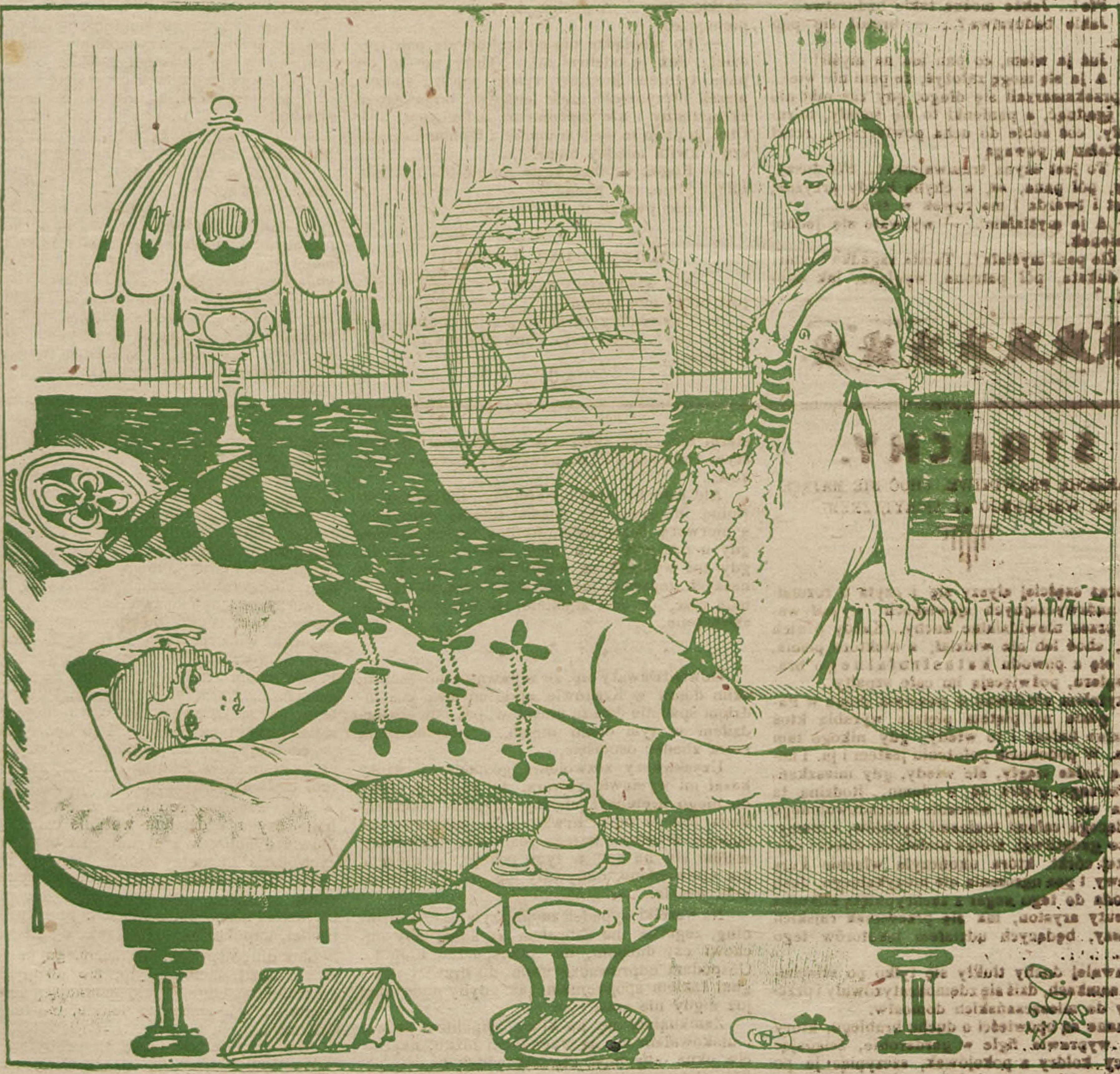
Należytość pocztowa opłacona ryczałtem.

Wyłączne zastępstwo i główny skład na Lwów w biurze K. BUCHSTABA, ul. Karola Ludwika 21.

W Warszawie do nabycia wszędzie. Biuro dzienników „Promień", Łódź, Piotrkowska 81.

Ceny ogłoszeń: za wiersz petitowy jednoszpaltowy na stronie inseratowej M. 2·—, na miejscu specyalnie zastrzeżonem M. 3, za wiersz nonpareilowy jednoszpaltowy M. 4·—, za wiersz petitowy w części redakcyjnej M. 12.

Numer pojedynczy 5 Marek. Redaktor: K. Krumłowski. Numer pojedynczy 5 Marek.



— Twierdzą, że z powodu drożyzny można się ubrać w bądźco... Ciekawam, coby powiedzieli, gdybym w tym kostyumie pokazała się na ulicy... Nasza prababka Ewa i tyle na sobie nie miała!

Nie zgadła.

Pan Stefan, przyjechawszy do Jordanowa na wakacye, wybrał się ze znajomemi panienkami do lasu.

Tam zabawiano się w różne gry towarzyskie, wreszcie przyszła kolej na zagadki...

— Panie Stefanie!... Powiedz pan jaką ładną zagadkę — prosiła panna Mania.

— I owszem! — odrzekł pan Stefan, znany szeroko z galanteryi dla płci nadobnej. — Co to jest, proszę pani: „Pół duszy, pół pana — twarda, w środku rowkowana!"

Panienki zaczęły się zastanawiać, wreszcie jedna z nich, najbardziej rezolutna, rzekła:

— Pfe!... Jakże można takie bzdurstwa...

— Jakie bzdurstwa?... — bronił się pan Stefan.

— Już ja wiem, co pan ma na myśli!

— A ja się mogę założyć, że pani nie wie!...

I przekomarzali się długo, gdy zaś nikt nie mógł zgadnąć, a panienki to się śmiały, to rumieniły, coś sobie do ucha powtarzając, rzekł pan Stefan z powagą:

— To jest szyna tramwajowa!... Pół duszy, to *szy*, pół pana, *na*, a chyba każdy przyzna, że jest i twarda i ma rowek w środku...

— A ja myślałam... — wyrwało się jednej z panienek.

— Źle pani myślała!... Tamta zagadka brzmi: „Pół dukata, pół patrona, wygląda, jak ogolona!..."

Kogo właściwie przejechał?

(Rozmowa adwokata z klientem).

— Ja tu do pana mecenasa w sprawie mojego procesu...

— Ahm!... To pan!... Już sobie przypominam!... To pana przejechał w tamtym roku wojskowy samochód...

— Tak, panie mecenasie... Przyszedłem się właśnie dowiedzieć...

— Naturalnie wygraliśmy proces, bo co ja wezmę do ręki, to się musi pomyślnie skończyć... Przyznano panu tysiąc pięćset marek odszkodowania.

— To trochę mało!... ale i to dobre za te ciężkie czasy... A gdzież się mam zgłosić po pieniądze?

— Po pieniądze nie potrzebuje się pan trudzić!... Już je odebrałem!... Należy mi się od pana tytułem kosztów tysiąc pięćset siedem marek i trzydzieści sześć fenigów... bo ja jestem skrupulatny i nie zapominam o fenigach!... — Otóż ja panu te siedem marek z fenigami opuszczę i kwita między nami!

— Kogóż w takim razie przejechał automobil?... Mnie, czy pana?...

— Ale pan za to wygrał proces!...

Muzykalna Frania.

— Nie wiedziałem nawet, że panna Frania jest także muzykalna!

— Czy skończyła może jaki kurs operowy?

— Nie!... Ale zato pana Stefana puściła... w trąbę!...

Fatalna pomyłka.

Dwaj poważni obywatele krakowscy, starzy kawalerowie (niestety, jeden z nich już... się ożenił!...), corocznie wybierali się w czasie wakacyjnym w podróż po Europie, byli w Azyi, zawadzili nawet o Afrykę. W Rzymie widzieli papieża, w Neapolu nie pomarli, wreszcie kolej przyszła na Paryż.

Tu głównie im chodziło o poznanie nocnego życia stolicy, zaraz pierwszego dnia po przyjeździe wybrali się też pod wieczór na szukanie wrażeń. Dodać należy, że po francusku obaj ani w ząb, ale sobie tłomaczyli, że się bez tego obejdzie, bo Francuzi, a zwłaszcza Francuzki, znani są z uprzejmości wobec przyjezdnych.

Aby sobie nie zapomnieć, jak się nazywa ulica, przy której mieli mieszkanie, na wszelki wypadek zanotowali sobie napis, jaki widniał na tablicy, umieszczonej na rogu. Pewni siebie i spokojni ruszyli zatem naprzód, a że się bawili dobrze, tego najlepszym dowodem, że już dniało, gdy rozpoczęli planowy odwrót, ale... w niezupełnym porządku.

W czasie zabawy wyleciało im z głowy nazwisko ulicy i byli już w kłopocie, co robić, gdy w tem przypomnieli sobie, że przecież zanotowali napis, który widniał na rogu ulicy...

— To był radco dobry pomysł!... — rzekł jeden.

— Tak!... I to ja wpadłem na niego!... Niedarmo to mówię, że powinienem być ministrem!... — odparł drugi.

Wyszukali zatem notatkę, gdy ją jednak pokazali jednemu z przechodniów, mruknął coś, uśmiechnął się i poszedł dalej.

To się powtórzyło z drugim, trzecim i t. d.

Radcy zachodzili w głowę, co mogłoby to znaczyć.

— I to ma być ta tak sławna uprzejmość francuska! Tfu!... — zawołał jeden z nich.

— I to są nasi sprzymierzeńcy!... — dodał drugi i też splunął.

Na szczęście trafili wreszcie na Polaka, których dość w Paryżu. I on wracał z jakiejś konferencyi... politycznej, gdyż miał minę bardzo... zmiętą!... Gdy mu pokazali notatkę, parsknął śmiechem i rzekł:

— Moglibyście panowie jeszcze długo szukać tej ulicy!... Wiecie co ten napis znaczy? Zupełnie to samo, co w Krakowie: „Zanieczyszczenie tego miejsca zakazuje się pod grzywną, względnie karą aresztu!..."

STRACHY.

(ZDARZENIE PRAWDZIWE, CHOĆ NIE MAJĄCE NIC WSPÓLNEGO ZE SPIRYTYZMEM).

Coraz częściej słyszy się i czyta o rozmaitych nadzwyczajnych zjawiskach, wywoływanych przez niewidzialne duchy. Każdy o nich mówi, choć ich nie widział, a niektóre pisma, zdaje się z powodu katastrofalnego braku papieru, poświęcają im całe szpalty.

Czytałem niedawno o pewnym domu w Paryżu, gdzie na piątem piętrze wyrabia ktoś kolosalne hałasy i to wtedy, gdy nikogo tam niema. W podobnem położeniu jestem i ja. I nademną hałas ciągły, ale wtedy, gdy mieszkańcy trzeciego piętra są w domu. Rodzina ta składa się z ojca, wiecznie niezadowolonego i sypiącego całemi tuzinami dyabłów, z mamy, bardzo gadatliwej, trojga nieletnich dzieci i najstarszej córki, która ukończyła właśnie kurs operowy i jest ogromnie nie muzykalnego. Jeśli się doda do tego zegar z zachrypniętą kukułką i zepsuty ryston, ma się przedsmak rajskich rozkoszy, będących udziałem lokatorów tego domu.

Dawniej duchy tłukły się tylko po szlacheckich zamkach, dziś się zdemokratyzowały i przeniosły do mieszczańskich domostw.

Znane są opowieści o duchu hrabiego, który dotąd wyprawia figle w garderobie, ściągając w nocy kołdry z pokojówek, szczypiąc je po łydkach, nieboszczka księżna pokazuje się stale po północy w pokoju kamerdynera, jakiś cień, w którym poznają postać świątobliwego kapelana, kręci się stale nocami koło drzwi pokoju starej klucznicy, która w ośmdziesiątym szóstym roku panieństwa powiększyła grono aniołków...

Ale i duchy mają też kłopoty. Jak wiadomo, wolno im grasować nocami między dwunastą a pierwszą, tymczasem, według zegara nowego gdy u nas północ, u nich dopiero jedenasta, gdy zaś wyruszą na wędrówkę o północy, na naszych zegarach już pierwsza i koguty zaczynają piać, co jest znakiem, że ich panowanie skończone.

* * *

Dowiedziawszy się, że w pewnym mieszczańskim domu w Krakowie stale co noc, coś ludziom spać nie daje (a pluskiew, jak sam stwierdziłem w tym domu niema...) postanowiłem rzecz zbadać osobiście.

Uzyskawszy zezwolenie gospodarza, który kazał mi wystawić rewers, że nie będę mieć do niego pretensyi, choćby mi jakiś nieczysty duch łeb w nocy urwał, i że nie będę po śmierci straszyć w jego realności, zakwaterowałem się na noc w tym pokoju, w którym, jak opowiadano, odbywały się co noc dyabelskie wesela.

Na wszelki wypadek zaopatrzyłem się w browning, zegarka nie zabrałem ze sobą, aby duchowi czy duchom, nie przysparzać kłopotu. Gospodarz odprowadził mnie do drzwi i pożegnał takiem spojrzeniem, jak gdyby mnie miał już nigdy nie zobaczyć.

Zamknąłem się na klucz, zapaliłem świecę i ulokowałem się na wygodnem łóżku, naprzeciw okna, aby mieć otwarty widok na cały pokój. Celem pobudzenia fantazyi przeczytałem sobie artykuł *Kuryera* o duchach w zamku tenczyńskim, a gdy zauważyłem, że się północ zbliża, zgasiłem świecę, gdyż duchy, mając światłości wiekuistej podostatkiem, gardzą ziemską i stale od niej uciekają.

I czekałem, nie mogąc zasnąć, przeszkadzały mi bowiem pchły, którym widocznie moja gościna w opuszczonym pokoju sprawiała ogromną radość... Obrabiały mnie, niczem wampiry i ssały moją krew, a ja im nie broniłem, jestem bowiem dość krwisty, mogę więc część odstąpić potrzebującym, zresztą jako czynny członek Towarzystwa opieki zwierząt litowałem się nad głodomorami. Pokój od roku stał pustką, aprowizacya więc pchlego rodu była fatalna, co sam skonstatowałem, złapawszy jedną z nich. Przekonałem się w palcach, że chuda jak szczypa!... Puściłem ją wolno!... Widocznie się tego nie spodziewała, po chwili dopiero dała szusa wprost na podłogę. I to bez tyczki!...

Niechajby się na podobny skok zdobył który ze zwolenników lekkiej atletyki, zarobiłby na tem ciężkie pieniądze!...

Ale wreszcie sen mnie zmorzył. Zamknąłem oczy i widziałem we śnie całe roje dyabłów i dyablic, w kostyumach i bez, zawodzących jakiś piekielny taniec. Dyabły są widocznie futurystami, do tańca przygrywała bowiem orkiestra, złożona z wirtuozów na grzebieniach i flaszkach, zamiast bębna służył stary rondel, kapelmistrz dawał takt ogonem...

Jak długo spałem, nie wiem, gdym się przecież obudził, ciemno było, ale do mych uszu doszedł jakiś odgłos, przypominający lekko stawiane kroki... Duchy są lekkie, nic też w tem dziwnego.

Odważny jestem (choć nie zdobyłem się dotąd na tyle odwagi, by się ożenić...), ale w pewnej chwili zdawało mi się, że mi włosy stają ze strachu dęba na głowie!... W sam czas bowiem przypomniałem sobie, że jestem łysy, co zwłaszcza mego fryzyera stale irytuje...

Pytałek sie...

(Fujareczka grać przestała).

Pytałek się raz Kasie,
Czy ukochać mi da się?
A ona mi pedziała,
Że za chłopem siedziała.
Więc ją chętka nie brała,
Bo już tego... dość miała —
Hej! Ha!...

Pytałek sie raz Róży,
Co u „Państwa" hań służy,
Czyby gemby nie dała?..
„Ano przyjdźe Janeczku,
Cekam cię na ganecku"...
Całować się nie bała,
Lecz jak do dom wracała,
Że pamiątkę dostała...
Hej! Ha!...

Pytałek sie raz „Pani",
Czy się z mężem kochała,
A ona mnie wyśmiała
I ku sobie wzywała —
Potem sama oddała...
Hej! Ha!

Ale cóz to powiecie,
Kiej się ludzie dowiecie,
Że od tego hań czasu,
Chociem chodził do lasu —
Grać już więcej nie chciała;
Coś biedaczce się stało,
Jakieś „zło" ją zawiało.
Że już dziewuch nie chciała,
Tylko ciągiem płakała!
Hej! Ha!

Fujarecka ma, już się złamała...

A. T.... (Rutra Skratigo).

Styl urzędowy.

(Z „Gazety lwowskiej" prawie dosłownie).

Jan Kozik z Pastudy, około sześćdziesięcioletni człowiek, wyjechał przed przeszło pięćdziesięciu laty do Ameryki, gdzie, jak stwierdzono zeznaniami zaprzysiężonych świadków, zginął podczas katastrofy kolejowej.

Ponieważ Jan Kozik nie dał dotąd znaku życia o sobie, a obecnie Katarzyna Kozik z Pastudy zgłosiła się do tutejszego Sądu, z żądaniem wdrożenia postępowania spadkowego po ś. p. Janie Koziku, wydaje się niniejszy list okólny z wezwaniem, by ś. p. Jan Kozik w tutejszym Sądzie do roku i sześciu tygodni osobiście się zgłosił lub w inny sposób dał znak życia o sobie, gdyż w przeciwnym razie zostanie uznany za zmarłego, a postępowanie spadkowe zostanie przeprowadzone ze zgłaszającemi się osobami. Tymczasem kuratorem ś. p. Jana Kozika ustanawia się pana adwokata dra Pomgafera, a to aż do chwili, póki zmarły sam się nie zgłosi, lub kuratora swego nie zawiadomi.

Sąd powiatowy w ——— Oddział IV.

Zabawa w ciuciu-babkę.

Pan dziedzic wrócił z Krakowa zły, gdyż zamknięto kawiarnię, gdzie stale grywał po południu w bezika... Na jej miejscu ma się rozsiąść jakiś bank, czy też podobna instytucya.

Chciał się zdrzemnąć, ale przeszkodziły mu krzyki, dochodzące z kuchni czeladnej.

Gdy mu już było zadużo, zawołał zaufanego swego furmana Felka i powiada:

— Skoknij-no Felek do kuchni czeladnej i zobacz, co się tam dzieje!... Czego tak krzyczą...

Felek poszedł, ale wpadł, jak kamień w wodę. Wreszcie wrócił po dobrym dwadransie.

— I cóż? — pyta dziedzic.

— Ano nic! — odpowiada Felek. — Tam się bawią w ciuciu-babkę...

— I przytem takie krzyki?... Jak się to odbywa?...

— Ano, zawiązali Kaśce oczy, położyli ją na ławce i już ją szósty z kolei całuje, a ona nie może zgadnąć kto... I ja spróbowałem i też nie zgadła!..





Z listu kochającej żony.

.... W Zakopanem, choć ludzi moc, nudzi mi się szalenie!... Na każdym kroku brak mi Ciebie, mój Karolku!... Odczuwam ten brak tak w dzień a najbardziej w nocy, gdyż nie miałam ani sposobności ani czasu na porobienie znajomości.

Twoją fotografię przybiłam na ścianie naprzeciw łóżka, aby Cię każdej chwili mieć na oku.

Ilekroć na nią spojrzę, wyrywa mi się mimowoli z ust:

— Ach!... Gdyby na tym gwoździu wisiał mój kochany Karolek...

I to pociecha.

— Jakże tam poszła najnowsza operetka?

— Niestety!... Przepadła!... Wygwizdano ją... To mię jednak pociesza, że w trakcie tego gwizdania doszło mych uszu kilka motywów z owej właśnie operetki!...

— A może to te, które pan zaczerpnął z innych?...

— Zdaje mi się, że nie!... Były zupełnie oryginalne!... W każdym razie warto się będzie nad tem zastanowić!...

Zawsze jednaki.

Bankier (do krawca): Panie łaskawy!... Czy nie mógłby mi pan te spodni trochę s p r o l o n g o w a ć?...

Z wyższych reminiscencyi.

— Cóż tam znów za ruch w ostatniej ławce? — pyta profesor.

— Bo tu, proszę pana profesora — odzywa się kilka głosów — Grudecki urządził niespodziewany atak gazowy...

— W takim razie zróbcie przegrupowanie!.. Ewakuować tamten odcinek, ale odwrót musi się odbyć planowo i w zupełnym porządku!..

— Kto tam?... — zapytałem, a gdy mi nikt nie odpowiadał, a szmer ten znów nie ustawał, zaświeciłem zapałkę, aby zuchwałego ducha złapać *in flagranti.*

Zrobiło się jasno, ducha nie było, po podłodze tupał mi karakon i to taki, jakiego można spotkać tylko w starych krakowskich domach, pamiętających lepsze czasy.

Choć opiekun zwierząt, ale wróg szwabów i karakonów, wylazłem z łóżka i zagniotłem go butem. I on był chudy aż litość brała...

I znowu ciemno, ciemno i spokój, bo pchły widocznie uśpiły się i teraz odpoczywają...

Nie długo to jednak trwało... Znowu szmer kroków jeszcze lżejszych... coś, jakby westchnienia. Nareszcie kroki zatrzymały się na środku pokoju, znów westchnienia i coś, jakby kapanie kropli wody na podłogę.

Nie pytając, zapalam zapałkę i widzę nad zwłokami nieboszczyka karakona drugi okaz tego samego rodu, ale rodzaju żeńskiego, co poznałem po kokonie, jaki samice noszą stale sobą, nie chcąc przyszłego pokolenia narażać na los szczęścia lub na opiece sług. Widocznie to żona nieboszczyka, która, nie mogąc się doczekać jego powrotu, wyszła na poszukiwania za mężem... I znalazła, ale jego trupa!... Stanęła nad nim, a łzy kapały jej z oczu wielkie jak groch...

Żal mi się zrobiło jej wdowieństwa, którego sam byłem powodem i aby skrócić jej męki, zadeptałem ją także...

I znów cisza... Nie mogłem już zasnąć. Zrozpaczona połowica karakona stała mi ciągle przed oczyma, a sumienie mi mówiło, że źle postąpiłem i że czyn mój nie licuje z charakterem czynnego członka Towarzystwa opieki zwierząt.

Gdzież jednak duchy?... Czyżby może na tę noc „wychodu" nie uzyskały?... Byłem pewny, że się ich nie doczekam, gdyż zaczynało już świtać, gdy wtem doszedł z pod łóżka nerwowy odgłos, jak gdyby tykanie zegarka. Zachodziłem w głowę co mogło być powodem, bo przecież zegarek zostawiłem w domu, a duchy ze zegarkami nie chodzą...

Nie chciałem ducha płoszyć, niech się rozgości. Po chwili zapaliłem zapałkę i spojrzałem pod łóżko, nic jednak tam nie widzę...

Czyżby złudzenie akustyczne?

Nie! Za chwilę powtarza się to samo, co jest dowodem, że w tym wypadku ma się do czynienia z prawdziwymi duchami, nieco tylko spłoszonymi. Ale i duchom może się to zdarzyć!...

Zapalam znów zapałkę, zaglądam... nic!...

To mnie zirytowało. Rozpalam więc świecę i czekam... Chwila ciszy, potem znów ten odgłos miarowy...

To mnie zaintrygowało... Cichutko wychylam się z łóżka i spoglądam pod nie. I co państwo powiecie na to?... Pod łóżkiem leżały dwie zapałki, jedna na drugiej, a dwie dorodne pchełki, ugasiwszy moją krwią całoroczne pragnienie, siadły sobie na obu końcach górnej zapałki i urządziły huśtawkę... Jak festyn, to festyn!...

Jestem arcypies, jak mawiał ś. p. Zagłoba, jeśli kłamię!

I po skonstatowaniu tego faktu, o którym napiszę specyalną rozprawę, zasnąłem snem sprawiedliwych...

Jasno już było w pokoju, gdy mnie obudziły gwałtowne dobijania do drzwi i głos gospodarza:

— Na miłość Boga!... Panie kochany!... Żywy, czy nieboszczyk, ale odezwij się pan!...

— Żywy!... Żywy!... — zawołałem. — Ale są trupy!...

— Są?!... Zaraz telefonuję po budę!...

— Nie potrzeba!...

Otworzyłem drzwi, za któremi ujrzałem gospodarza z rewolwerem (nienabitym!...) w dłoni, stróża z miotłą i kucharkę z ogromnym nożem. Odetchnęli, gdy się przekonali, że mi głowy, ani żadnego innego członka nie brak.

— Więc pan żyje!... — mówił ucieszony gospodarz.

— Jak pan widzi! — odpowiedziałem.

— A gdzież te strachy?...

Pokazałem mu parę karakonów-nieboszczyków i opowiedziałem dokładnie moje nocne przejścia.

Widocznie posmutniał.

— Żal panu, że mi dyabeł łba nie ukręcił? — spytałem.

— To nie!... — westchnął — Ale jaka szkoda, że pokój rok cały był bez lokatora!... To się jednak jakoś odbije...

Ciekawym mogę służyć bliższym adresem nie radziłbym przecież wynajmować pokoju, bo tam mnóstwo pcheł, i są bardzo krwiożercze, a nadto gospodarz będzie się starał odbić na przyszłym lokatorze poniesione straty.

Mnie, jako pogromcę duchów, poczęstował na podziękowanie cygarem i to przedwojennem!...





— Tylko nie pomyl się w korytarzu na piętrze!... Mój pokój na prawo, na lewo mojej mamy!



— Żałuję, że cię nie usłuchałem!... Ten hotel jest pod psem!

— A widzisz... Już ja za mych panieńskich czasów dość się po hotelach natłukłam!...



— Dlaczego się nie ubierasz?

— Czekam na gospodarza... Zwykle tak punktualnie zgłaszał się po czynsz. Czyżby i na niego gorąco tak fatalnie podziałało?...



— Tobie trzeba było głupszej żony, niż ja jestem!

— Kiedy znaleźć nie mogłem!..



— I cóż ty na to nowe powołanie mężczyzn pod broń? To ważne dla nas!

— Jakoś damy sobie radę!... Podniesiemy taksę!... Tu chyba Urząd walki z lichwą nosa nie wściubi!...



— Ja panu doktorowi jednak mówię, że to przeziębienie! Moja córka jest ogromnie wrażliwa!... Nabawiła się go poznawszy się z pewnym Halerczykiem, który przybył do Krakowa wprost z Murmania.



— Bardzo cię proszę moja Kasiu, gdy ja stoję w oknie, ty się nie patrzaj, bo ja nie znoszę brudnej konkurencyi!



— Tylko zbyt mnie nie zapinaj!... Idę do mecenasa w sprawie rozwodowej, a on jest ogromnie niecierpliwy...!

Ferdek Eleuteryk.



Meksykański astronom, pan Portem, który takiego Piotra napędził całymu rodzajowi ludzkiemu, tak męskiemu jak i żeńskiemu, swoją zapowiedzią na kuniec świata, był prawie racyje mający, choć się troche pomylił. W grudniu tamtygo roku kuńca świata nie było, ale teroz ino go patrzeć.

Bo i jakże mógł być, kiedy w Piśmie świętym wyraźnie stoi, że przedtym bedzie po świecie Ancykryst z ognistym piecem jeżdżący, a — ten Ancykryst z powodów od Redakcyi niezależnych urodził się dopiero w czyrwcu i to akurat w Krakowie.

Ancykryst więc jest, teroz się ino rozłazi o to, aby mioł czem być w tym piecu palący, bo jeżeli mo być urzyndowy kuniec świata, to musi być z całą paradą.

Stoi ino na zawadzie zmiana w programie, że zamiast Sądu ostatecznygo, ma być raut, urządzony staraniem miasta, z tyj okazyi, że Ancykryst obrał sobie akurat Kraków za miejsce urodzynio.

Jo go nie widziołem, ale jeden doktór był grypsający, że mu kość ogonowo styrczy na trzy łokcie, a jest taki obrośnięty na wszystkie strony (i na widerunku tyż!...), że z tych kłaków możnoby zrobić ze trzy materace i to kużdy na dwie osoby. Zamiast mleka dają mu z flaszeczki gorącą smołę, a przegryzo zapałkami siarkowemi. Mo naturalnie i rogi, bo dyabeł bez rogów i ogona to niedorodek, a on jest rasowy. Jest neutralny, bo jego matka pochodzi z gudłajskigo rodu.

Oprócz Ancykrysta mają być przy kuńcu świata dziwne znaki na ziemi i na niebie. Na ziemi już są, a na niebo nie patrzę, bojący się, aby mi stamtąd co na kark nie kapło, bo w mieście gołębie, a na plantach gawrony nic sobie z tygo nie są robiące, choć się im coś paskudnygo na publicznem miejscu przydarzy, a trza być widzącym, że i u nich skróś złyj aprowizacyi, sprawy wewnętrzne nie są w porządku.

Co do owych znaków na ziemi, to za takowe jestem uważający rozsypanie się gabinetu Skulskiego, Witosową klapę i gabinet pana Grabskiego, który jak siod na fotelu tak godo, że go niczym nie ruszy, choćby mu kto wbił szydło z przeproszyniem w ...podniebienie. A że kuniec świata jest gorzki, mo majestrot w tym czasie być biały cukier rozdzielający, aby se naród bodaj na kuniec osłodził swą dolę i dobre wspomnienia wyniósł z tygo świata.

Witos tak se te swoją klapę był do serca bieroncy, że nagrypsoł do braci chłopów, aby sie za nim ujeni, ale z tygo bedą nici, bo sie obraziły siostry baby, że o nich zapomnioł, a wiadomo, że teroz baba rządzi światem.

Chłopy mają se zakarbować ten despekt, jaki Witosa był spotykający i skróś tygo nimoge w tym roku na wylegijature na wieś być jadącym, choć bowiem jestem do mindzynarodowygo narodu należącym, a ten z ludowcami jedna graba (oba są z lewej ręki...), knajom w surducie i krawatce i mogliby mnie łatwo za burżuja być uważający. A wyznanie poletyczne to nie tak łatwo być stwierdzającym jak religijne. I to ino gudłaj jest taki szczyśliwy, że nosi zawdy metryke przy sobie może ją na każde wezwanie być pokazującym.

Siedze więc w Krakowie i tu czekom na kuniec świata, a jeżeli sie nie doczekam, to nie moja wina, ino Ancykrysta, że mnie w błąd, taki syn, wprowadził!

Z naszych uzdrowisk.

Rabka.

Kochana Pani Kohnowa!

Zdziwi si Pani zapewne, że ja tego roku nie bawię, jak co roku w Szczawnicę, ale ja Pani powiem, że tam dla mnie trochę żydów zawiele, zresztą i tutaj czuje się człowiek jak u siebie w domu, bo naszych nie brak. Jest Kopflowa z córką, są Finkelsteinowie, Pomeranz wraz z całą rodziną i prawie wszystkie te osoby, z któremi spotykało się w Krakowie w teatrze, na plantach lub w Esplanadzie.

Ja jestem sama, bo ja potrzebuję wytchnienia, ale mąż przyjeżdża co tygodnia na sobotę i niedzielę. Przez inne dni tygodnia jest tutaj młody Rosenbaum, ten, co to pani wie, więc mi się nie nudzi. Jak mąż ma przyjechać, to Rosenbaum jedzi do Tarnowa, gdzie ma narzeczoną, bo i on potrzebuje też wytchnienia!... Tylko ja biedna nie mam go, jak tydzień długi!

Choć jego narzeczonej nie znam, zazdroszczę jej! Takiego męża mieć, to rozumiem!... Niema Pani, kochana Pani Kohn, pojęcia, co to za pracowity człowiek. Jego nic nie obchodzi ośmiogodzinny dzień pracy, pracowałby dwanaście i trzynaście, gdyby miał siły. Ale on jest bardzo wątły i dlatego sobi kąpie tu w Rabce. Praca dzienna czy nocna, to jemu wszystko jedno. Mój Samek to w porównaniu do niego, próżniak i niedołęga, robiący wszystko, aby się zbyć.

Miałam jechać tego roku do Zakopanego, bo i tam są nasi, ale dałam sobi spokój, gdy si dowiedziałam, że kto chce dostać karty chlebową, musi si kąpać. Ja to dobrze wiem, że czasem trzeba sobi wymyć i wykąpać, ale nie wtedy, kiedy mi kto każe, tylko wtedy, gdy się mnie zachce!... Nawet rodzonemu mężowi nie byłabym pod tym względem posłuszna, bo ja sama wiem, kiedy trzeba, a kiedy si obejdzie!...

To jest ze strony Zakopanego bezczelność!... Ciekawa jestem jak wyjdzie na tym antysemityzmie.

Pozdrawiam kochaną Panią i do miłego widzimyszę.

Regina Pufeles.

P. S. Ale o tym Rosenbaumie proszę nie mówić nic memu mężowi!... Co go to obchodzi!...

W redakcyi.

— Chciałem ofiarować panu redaktorowi swoje współpracownictwo...

— Jakież pan posiada kwalifikacye?

— Mam, proszę pana redaktora, frapujący pseudonim!... Dwa miesiące nad nim myślałem!

— I cóż więcej?...

— Więcej?...

— Co mógłby pan pisać?

— Co mógłbym pisać?... Wie pan redaktor, że nad tem się dotąd nie zastanawiałem!...

— Niechże się pan więc zastanowi, a potem pogadamy, gdy pan już się zdecyduje!...

Także ogłoszenie.

Do mego familijnego grobu na cmentarzu rakowickim mogę przyjąć kilka osób z lepszych sfer za odpowiednim wynagrodzeniem. Zapewniony spokój i doborowe towarzystwo. Łaskawe zgłoszenia pod „Grób familijny“ poste restante Kraków.





Daktyloskopia.

— Panie mecenasie, prosiłbym o wniesienie skargi rozwodowej... Moja żona mnie zdradza!

— Masz pan na to dowody?

— Oczywiście! Wprawdzie nie złapałem jej dotąd na gorącym uczynku, bo się strzeże, śledzę ją jednak na każdym kroku...

— To za mało!... Trzeba mieć dowody *namacalne!*

— Właśnie takie mam!... Oto one!

To rzekłszy, wysypał z kieszeni na stół cały plik kartek, na których widniały jakieś odciski...

— Cóż to takiego? — zapytał adwokat.

— To są właśnie owe *namacalne* dowody!... Pan mecenas wie, że ja jestem urzędnikiem policyi i zajmuję się daktyloskopią... Codziennie badam też dokładnie jej garderobę i, proszę, co znalazłem!... To odciski palców męskich z jej stanika, te trzy ze sznurówki, ten nieco zamazany z maj...

— I panu się chciało bawić takiemi głupstwami?... To zresztą nie żaden dowód!...

— Bardzo przepraszam, to nie są żadne głupstwa!... A dowód pewny, bo *namacalny!...*

— A może to odciski pańskich własnych palców?...

— O, nie!... Porównywałem z moimi odciskami, ale się nie zgadzają!... A ja się znam na tem!... Mogę nawet scharakteryzować tę osobę, której mam odciski palców... Najprzód ten nieco zamazany pochodzi od jakiegoś nerwowego i popędliwego mężczyzny, a ja proszę pana mecenasa, jestem flegmatyk!... W każdym razie dowody są *namacalne!...*

Znawca biblii.

— Czyim synem był Mojżesz?

— Córki Faraona!

— Co też gadasz!... Ona go tylko znalazła w trawie nad Nilem, gdy się wybrała do kąpieli!

A Baumgarten na to śmiejąc się łajdacko:

— No ona tylko tak opowiadała, ale temu chyba i wtedy nikt nie wierzył!...

Naprawiona pomyłka.

Ksiądz katecheta, wykładając na pensyi religię swym uczenicom, aby się zbyt nie trudzić, najspokojniej odczytał swoją rzecz z podręcznika.

Wykładał właśnie o stworzeniu świata i doszedł do momentu, jak Pan Bóg spuścił na Adama twardy sen, w którym wyjął mu jedno żebro i stworzył z niego Ewę.

W tym miejscu przewrócił ksiądz katecheta, jak mu się zdarzało, jedną kartkę i czytał dalej.

— ...która była dwieście łokci długa, czterdzieści wysoka i szeroka, a wewnątrz i zewnątrz smołą wylepiona...

Przeczytawszy, zreflektował się i doszedł do przekonania, że musiała zajść pomyłka. I zaszła w samej rzeczy — odwrócił dwie kartki zamiast jednej i z Ewy zjechał na arkę.

Nie stracił jednak fantazyi i wytłómaczył słuchaczkom:

— Że Ewa była dwieście łokci wysoka i szeroka, nic w tem dziwnego, była bowiem matką całego rodzaju ludzkiego. Dlaczego jednak była wewnątrz i zewnątrz wylepiona smołą, tego dotąd ojcowie kościoła rozstrzygnąć nie potrafili...



Z listów Hermogenesa Klapy.

Spaa.

Kochana Redakcyo!

Chyba nie uschniecie z ciekawości, dokąd wyjechałem z Paryża, gdyż, jak się dowiaduję, macie tam w Krakowie codziennie deszczyk, jako pamiątkę po św. Medardzie.

Dziś mogę już odkryć... proszę się nie rumienić, gdyż nie będzie nic nieprzyzwoitego... rąbek tajemnicy, gdzie byłem, co widziałem i słyszałem, głównie zaś, co jadłem i piłem, gdyż aprowizacya to rzecz dziś najważniejsza i dlatego zaczyna się od litery **a**.

Otóż przyjechałem do Boulogne sur Mer, wychodząc z zasady, że powinienem tam być, skoro nie byłem w San Remo, Londynie, Spaa. Ponieważ mnie i do Boulogne zapomniano zaprosić, wybrałem się zupełnie *incognito*. Kazałem sobie nawet wąsy przystrzydz i przyczernić, aby mnie nie poznano.

W Boulogne ruch, niczem na czarnej giełdzie koło Spatza w Krakowie. Za przedstawicielami państw sprzymierzonych zjechali i rozmaici interesanci, a gazeciarskich korespondentów z drutem i bez drutu cały legion. Zauważyłem po oczach (bo gdzieindziej nie patrzyłem...), że prasa zagraniczna, zwłaszcza zaś ta, która grupuje się koło Lloyda George'a jest bardzo „neutralna“ i teraz dopiero tłómaczę sobie sympatyę, jaką nas stale otacza ten angielski mąż stanu.

Czy to jednak da się uchować *incognito*, choćby nawet najpilniej przestrzegać?... Po południu w moim numerze w hotelu „pod Mokrym Kopytem“, wycinałem sobie właśnie odcisk, który mi dolegał (zdaje się będzie zmiana bo i w kolanach mnie strzyka...), gdy ktoś zapukał, a potem wszedł... Lloyd George.

— Servus Klapa! — zawołał z widoczną radością i brakiem chrypki. — A ty co tu robisz?... Przyjechałeś na konferencyę?

— Nie!... Bawię tu z jedną panienką... — odpowiedziałem. — Właśnie dlatego wycinałem odciski, aby się jej wydać młodszym!...

— O — stary lubieżniku!... Widzę, że i wąsy przyczerniałeś!...

— Co to, to nie!... To następstwa opalenia!... W ostatnich czasach dużo przebywałem na słońcu...

Zapewne znowu jaka wycieczka, urządzona przez *Kuryera*...

— O nie!... Jakiż zresztą mógłbym brać udział w konferencyi, skoro zapomnieliście sobie o mnie, a wiadomo, że „kogo nie proszą, tego kijem wynoszą“...

— W samej rzeczy zapomnieliśmy!... A chodziłeś mi ciągle po głowie!... — i podrapał się mimowoli. — Ale to się da naprawić!... — Zgłoś się zaraz do Piltza!

— Co?... Ja się mam zgłosić do Piltza?... — wrzasnąłem jak tygrys. — Ja jestem zdrów na ciele i na umyśle i nie myślę bynajmniej iść do waryatów! Idź sobie sam, jeśli masz ochotę!

— A któż ci każe iść do waryatów?...

— Ty!...

— Ja?...

I dopiero musiałem mu tłómaczyć, że w Krakowie: Idź do Piltza!... to tyle, co dawniej: Idź do Żuławskiego! a w Warszawie do Czubków...

Nieporozumienie wyjaśniło się bardzo prędko. Pokazało się, że nic złego nie miał na myśli, a wysyłając mnie „do Piltza“, chciał tylko skierować mnie do zastępcy Polski na konferencyi, a tym był właśnie Erazm Piltz, z waryatami nic wspólnego nie mający.

Poszedłem, rzecz prosta, specyalnie przecież udziału w konferencyi nie wziąłem, natomiast uczestniczyłem w obiedzie i jadłem za trzech, aby Koalicyą wiedziała, że Polacy mają apetyt i byle czem ich nie zadowoli. A przyznać trzeba, jedzenie było paradne, trunkowość też niezgorsza. Z Millerandem piłem bruderszaft. Ogromnie mnie polubił i stał się nawet zazdrosnym z tego powodu. Ilekroć zbliżyłem się do Lloyda George'a, zaciskał pięści.

Choć nie urzędowy członek, ale, że się wyrażę „wstydliwy“ członek konferencyi (niczem fijołek w trawie...), konferowałem z Millerandem i Lloydem George w sprawie stosunku Koalicyi do stosunków polsko sowieckich.

Millerand był za czynną pomocą i ma zamiar wysłać na nasze wschodnie kresy kolorową armię francuską, aby w ten sposób poprawić tam rasę i zapobiedz wyludnieniu, Lloyd George jest zdania, że musi się skończyć na interwencyi dyplomatycznej, co najwyżej wydeleguje się tam misyę koalicyjną.

Gdy go zapytałem, dlaczego tak nieżyczliwie jest dla nas usposobiony, odpowiedział:

— Jesteś w błędzie, kochany Klapa! Ja was kocham na równi ze wszystkimi, z którymi robię interesy... Nikogo nie mogę wyróżniać!

— Bolszewikom sprzedałeś broń, aparaty gazowe...

— Tak, to prawda! — odpowiedział. — Bo i cóż miałem z tem robić, skoro nam to niepotrzebne?... Ale i o was nie zapomniałem, musisz przyznać!... Któż wam sprzedał maski gazowe, jak nie ja? A co robilibyście bez masek w razie ataku gazowego?... Widzicie więc, że i ja was popieram!...

Kolacya była także wyborna. Oni zmęczeni gadaniem, nie mieli apetytu, ja dawałem znowu koncert, że niech się Paderewski schowa! Zwłaszcza ser jakiś ogromnie mi smakował, jadłem, że aż się uszy trzęsły.

— Aby panu tylko nie zaszkodził na noc! — zauważył jeden z dyplomatów.

— Dlaczego? — zapytałem.

— Bo to ciężki ser... Możesz się pan struć!...

— To doskonale!... U mnie pokazały się szczury, to się ich pozbędę przy pomocy tego sera!...

I zabrałem z półmiska resztę, zapakowałem w gazetę i schowałem do kieszeni. Ta przytomność umysłu zrobiła jak najlepsze wrażenie.

Z Boulogne wyjechałem do Brukseli, aby się z królem Albertem porozumieć w sprawie jego arbitrażu na Śląsku Cieszyńskim, s'ąd zaś do Spaa, gdzie obecnie siedzę, czekając, aż mi szewc buty podzeluje. A robota tak mu idzie raźno, jak ich krakowskim kolegom. Nie mogąc wychodzić z domu z tego powodu, piszę sprawozdanie z konferencyi, mając zamiar posłać je kochanej Redakcyi.

Tymczasem posyłam całusy dla wszystkich!

Klapa

Ma racyę.

(Rozmowa przyj ciółek).

— Wie kochana pani, że nie poznałam wczoraj szanownego mężulka, tak się zmienił!

— Kazałam mu uciąć włosy i ogolić wąsy, bo mi się nie podobały...

— Mój Boże!... Gdybym ja tak chciała memu mężowi ucinać lub golić to, co mi się u niego nie podoba, już dawno nie zostałoby nic z niego!...

Międzynarodowy język.

— Widzę, że córka pani chodzi stale z tym Francuzem!... Umie ona po francusku?

— Nie!

— A jakże się porozumiewają?

— Widzi pani to było tak!... Pewnego dnia, gdy się poznali na ulicy, on za nią psyknął, ona się oglądnęła, on się ukłonił, ona się od kłoniła, bo ja moje dzieci już od pierwszej młodości uczyłam, że trzeba być grzecznym, zwłaszcza dla obcych... I tak się zawiązała znajomość... Nie mówią ze sobą, ale się oboje rozumieją, w ostateczym zaś wypadku porozumiewają się na migi. Od czegóż dał Pan Bóg człowiekowi palce?...

W świętem oburzeniu.

— Co ja za kłopoty, moja pani, mam ze swoją Manią!... Ta dziewczyna, to na bezludnej wyspie nie prowadziłaby się porządnie!... A jaka do tego roztrzepana!... Niema dnia, aby ze spaceru nie wróciła bez jednej pończochy, albo bez sznurówki!... Takie to już młode po kolenie!... A nam, moja pani, coś podobnego ani w głowie!...

Słuszny powód niezadowolenia.

Do dziedzica zgłasza się parobek, jeden z najstarszych i najzręczniejszych i dziękuje za służbę.

— Co jest? — pyta dziedzic zdziwiony. — Cóż wam znowu wpadło do głowy, Wojciechu?... Jakiż powód?

— Skroś wiktu!... — odpowiada zagadnięty, skrobiąc się za uchem.

— Wiktu?... Albo to zły?... Nie macie to codzień barszczu, codzień grochu?... I cóż chcielibyście więcej?...

— Właśnie skroś tego barszczu i grochu!... Barszcz to woda, a groch to wyjdzie z człowieka z wiatrem!... A cóż zostanie na... ciało?...

NADESŁANE.

Właściciele wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpowiedzialny redaktor: Konstanty Krzesłowski. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie pod zarządem Stefana Kraczmarskiego.



— Tylko o sercu mi nie opowiadaj! Tem mi głowy nie zawrócisz!... Sam powiedziałeś, że miłość to uczucie głupie, bo zaczyna się w sercu, a kończy nieraz zupełnie niedorzecznie!